

# Kazimierz Rakowiecki

---

## Ze wspomnień prawnika

---

Palestra 3/9(21), 38-48

---

1959

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KAZIMIERZ RAKOWIECKI  
adwokat  
em. sędzia Sądu Najwyższego

---

## Ze wspomnień prawnika

### Studia uniwersyteckie

W ciągu mego długiego, bo przeszło 87-letniego życia zajmowałem szereg różnych stanowisk, pracowałem i stykałem się z wielu wybitnymi prawnikami. Dlatego też niniejsze wspomnienia, stanowiące część większej całości, może nie będą obojętne dla kolegów prawników.

W 1892 r. zapisałem się na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W uniwersytecie panował duch rosyjski, ale wśród profesorów pozostało jeszcze kilka wybitnych sił polskich, jak prof. Władysław Holewiński, znakomity znawca prawa cywilnego, prof. Adolf Pawiński, wybitny historyk, który na pierwszym kursie prawa wykładał urywek z dziejów starożytnego Rzymu, ale głównie był wnikliwym badaczem ustroju Polski XV i XVI w. i autorem m. in. dzieła „Rządy Sejmikowe”, dalej — prof. Antoni Okolski, znawca prawa administracyjnego, oraz prof. Henryk Struwe, który wykładał logikę, psychologię, estetykę i historię filozofii. Poza tym z dawnych profesorów Polaków prawo rzymskie wykładał prof. Dydyński.

Prof. Holewiński był zarazem prezesem Departamentu Cywilnego Izby Sądowej Warszawskiej, tj. jedyne go wówczas dla Kongresówki Sądu Apelacyjnego. Był on też poprzednio członkiem komisji rządowej powołanej do opracowania nowego prawa cywilnego dla całej Rosji. Prof. Holewiński opracował projekt kodeksu cywilnego, ale projekt ten nie uzyskał aprobaty czynników rządowych i dawne przepisy prawa cywilnego, zawarte w t. X Zводу Praw, pozostały nadal w mocy. Skrypty z wykładów prof. Holewińskiego wydawałem wspólnie z kolegą Kazimierzem Bączkiewiczem, późniejszym zdolnym adwokatem, a w końcu proboszczem starożytnego kościoła Panny Marii na Nowym Mieście.

cie. Profesor, zagrożony gruźlicą, na którą leczył się przez całe życie, mówił cicho. Trzeba było, siedząc nawet w pierwszej ławce, pilnie uważać przy notowaniu wykładu.

Jednocześnie ze mną wstąpił na wydział Prawa syn prof. Pawińskiego, Staś Pawiński, z którym zaprzyjaźniłem się i przez którego poznałem całą rodzinę profesora. Bywając dość często w domu profesorostwa, byłem też świadkiem ciągłej, wyteżonej pracy profesora, który wróciwszy zmęczony po wykładach w uniwersytecie czy też po pracy w Archiwum Akt Dawnych (był jego niestrudzonym dyrektorem i badaczem źródeł historycznych), natychmiast po spożyciu obiadu szedł do swego gabinetu do dalszej pracy.

Prof. Struwe prócz wykładów urządzał w swym mieszkaniu interesujące zebrania dla części słuchaczy wyższych kursów prawa, w których i ja brałem udział. Pogadanki na tych zebraniach poruszały rozmaite tematy z zakresu estetyki, sztuki i historii, a że były wolne od wszelkiego przymusu i od narzucania innym własnych poglądów, cieszyły się wśród młodzieży dużym powodzeniem.

Uniwersytet ukończyłem w 1896 r. z pierwszym stopniem naukowym kandydata nauk prawnych, odpowiadającym obecnemu stopniowi magistra prawa.

### Praca w Prokuraturii Królestwa Polskiego

Jesienią 1896 r. wstąpiłem do Prokuraturii Królestwa Polskiego w charakterze — jak to się wówczas nazywało — kandydata na stanowiska sądowe, czyli w charakterze aplikanta. Po roku zostałem asesorem Prokuraturii. Była to instytucja założona jeszcze za czasów Królestwa Kongresowego (przez ministra Lubeckiego) pod nazwą: Prokuratoria w Królestwie Polskim. Miała ona za zadanie obronę interesów nie tylko Skarbu, ale i majątku całego szeregu instytucji publicznych, jak miast, gmin, kościołów wszelkich wyznań, towarzystw dobroczynności, fundacji społecznych itp. Był to zatem szeroki zakres czynności, znacznie szerszy od zakresu powstałej później w byłym zaborze austriackim, a stamtąd przejętej przez Państwo Polskie tak zwanej Prokuraturii Generalnej. Szeroki zakres i różnorodność czynności prawnych wykonywanych przez Prokuratorię Kr. Pol., jako też zastęp dawnych wykwalifikowanych prawników powodowały, że Prokuratoria Kr. Pol. była dobrą szkołą dla młodzieży prawniczej, znacznie lepszą od jednostronnej aplikacji sądowej lub adwokackiej. Zaznaczyć też należy, że Prokuratoria od czasu swego powstania aż do 1915 r., tj. do czasu opuszczenia Warszawy przez

władze rosyjskie, była jedyną instytucją rządową, która zachowała swą pierwotną, nieco tylko stylistycznie zmienioną nazwę Prokuratorii Królestwa Polskiego.

Prezesem Prokuratorii był za czasów mojej tam pracy pierwszy na tym stanowisku Rosjanin Sarando, wszyscy bowiem poprzedni prezesi byli Polakami. Cały poza tym zespół pracowników i urzędników Prokuratorii składał się wyłącznie z Polaków. Rosjanie nie kwapili się do objęcia tych stanowisk, gdyż uposażenia w Prokuratorii były stosunkowo niskie, a praca duża i wymagająca dobrej znajomości odrębnego w Kongresówce prawa cywilnego. Gdy Sarando został mianowany prezesem, podniesiono mu znacznie pensję, inne jednak etaty, zajęte przez Polaków, pozostały bez zmiany. Trzeba jednak przyznać, że Sarando był dobrym prawnikiem i znał obowiązujące w Królestwie prawo cywilne. Tylko tam, gdzie w grę wchodziły interesy Skarbu lub rządu rosyjskiego, bywał czy też musiał być stronnikiem. W latach późniejszych został on senatorem Departamentu Cywilnego Senatu.

Prokuratoria dzieliła się na kilka wydziałów, na czele których stali starsi radcowie, a w skład których wchodziłi inni prawnicy: radcowie, obrońcy sądowi, asesorzy i kandydaci. Kancelarią, zasobną biblioteką prawniczą i wzorowo urządzonym archiwum, zarządzał naczelnik kancelarii, również prawnik. Prezes i naczelnik kancelarii mieli mieszkania służbowe: prezes — duże, naczelnik — skromne, przy biurach Prokuratorii, które mieściły się na drugim piętrze wielkiego gmachu rządowego przy ul. Leszno. Gmach ten był właściwie wielką oficyną pałacu byłej Komisji Skarbu, wzniesionego przy placu Bankowym, toteż do Prokuratorii oprócz wejścia z ulicy Leszno wiodło także przejście przez dziedziniec kolumnowy wymienionego pałacu.

Ze starszych radców pamiętam głównie Domaszewskiego, Hirszla i Kinela.

Jan Domaszewski był wybitnym prawnikiem i miał znakomitą pamięć, dającą mu możność prędkiego odszukania, a najczęściej wręcz dokładnego cytowania odpowiednich przepisów prawnych. Referaty jego — opinie i pisma procesowe — były doskonałe. W późniejszych czasach był on właścicielem domu przy ul. Sądowej w miejscu, gdzie się ona załamywała. Nieraz go tam odwiedzałem.

Hirszel był najstarszy wiekiem. Niski, nieco zgarbiony, o dobrym, łagodnym uśmiechu, dokładny i sumienny prawnik, drobnym swym, ale wyraźnym pismem zapełniał sążniste referaty.

Radca Kinel był zarazem radcą prawnym przy okręgu naukowym, gdzie prowadził referat stypendiów ufundowanych w różnych czasach

dla uczącej się młodzieży. Oba swoje radcostwa traktował poważnie, z całą sumiennością, chociaż miał nogi sparaliżowane, tak że woźni musieli go wynosić z dorożki, którą przyjeżdżał do pracy, a także wnosić go na piętra. Jego praca w tego rodzaju niewątpliwie ciężkich warunkach oraz pogodny, a czasem i żartobliwe usposobienie jednały mu przychylność starszych i młodszych kolegów.

Zostałem przydzielony do wydziału radcy Hirszla. Razem ze mną pracował w tym wydziale — początkowo jako asesor, potem jako obrońca i radca — Ignacy Baliński, późniejszy mój kolega w Sądzie Najwyższym. Baliński był starszy ode mnie o lat prawie dziesięć. Gruntownie wykształcony, posiadający znajomość kilku języków, Baliński dobrze się wywiązywał ze swych spraw w Prokuraturii, ale czynił to pośpiesznie. Toteż żartobliwy, ale zarazem bardzo ceniący dokładność i systematyczność radca Hirszel odezwał się o nim raz z westchnieniem „Ach, ci poeci, nawet aktów porządnie związać nie potrafią”. Należy bowiem dodać, że każdy nowy referat zanim został zaakceptowany na sesji wydziałowej lub prezydialnej, a następnie przepisany, skierowany jako czystopis do kąd należy i doszyty do aktów — był kładziony na wierzchu aktów już poprzednio zeszytych i mocnym sznurkiem do nich przywiązany.

Również dość znaczna różnica wieku była między mną a innymi asesorami i obrońcami, jak np. Władysławem Smoleńskim, Edwardem Lechowiczem oraz Wacławem Kinelem, synem radcy, i innymi. Wobec znacznej różnicy wieku nie mogła się wtedy zawiązać między mną a wspomnianymi kolegami bliższa zażyłość, i dopiero w czasach późniejszych zażyłość taka powstała między mną a Balińskim i Kinelem.

Baliński od 1918 r. do 1926 r. był wybitną osobistością w Warszawie. Jako prezes samorządnej Rady Miejskiej, występował w imieniu stolicy, oficjalnie ją reprezentując. Potem, jak już wspomniałem, był sędzią Sądu Najwyższego. Wacław Kinel w 1918 r. został kierownikiem sekcji ustawodawczej Ministerstwa Sprawiedliwości, a następnie sędzią Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

Po roku pracy w Prokuraturii otrzymałem pierwszy stopień urzędowy — asesora. Pensja była stosunkowo niewielka: 750 rub. rocznie, czyli 62 rub. 50 kop. miesięcznie, ale ceny artykułów pierwszej potrzeby były niskie, więc przy oszczędności żyło się wcale nie najgorzej, a nieraz starczyło i na zabawę w towarzystwie starszych kolegów i przełożonych.

Z innych radców Prokuraturii pamiętam Brandla, Kossowskiego, Głodzińskiego, a zwłaszcza Stanisława Libickiego. Libicki był jednocześnie redaktorem poczytnego „Kuriera Codziennego” i ta praca, której oddawał się z zapałem, głównie go pochłaniała. Był to człowiek o po-

ważnym usposobieniu, zamknięty w sobie. Poznałem go bliżej około 1898 r., gdy zostałem członkiem Towarzystwa Higienicznego i pod kierunkiem zasłużonego społecznika dra Kazimierza Chełchowskiego, nieustrudzonego propagatora polepszenia stanu zdrowotnego mieszkań włościańskich, sam zacząłem badać tę ważną, a tak zaniedbaną sprawę. „Kurier Codzienny” zamieścił w tej sprawie parę moich artykułów, w których m.in. projektowałem, aby w drodze ankiety wśród ziemian, księży, lekarzy, nauczycieli i starszej młodzieży zebrać dokładniejsze materiały co do rozplanowania chat wiejskich, powierzchni i kubatury izb, oświetlenia, stosunku powierzchni okien do powierzchni podłogi i stosunku kubatury izb do liczby osób zajmujących te izby.

Z racji tych artykułów spotkałem się (raczej nie ja, lecz „Kurier Codzienny”) z namiętną jak zawsze i nieco zjadliwą wypowiedzią Posła Prawdy, tj. Aleksandra Świętochowskiego, że taka ankieta byłaby chybionym i nie rokującym żadnego pomyślnego rezultatu przedsięwzięciem. Świętochowski nie żywił żadnego zaufania ani do ziemian, ani do duchowieństwa i z góry przekreślał wartość materiału, jaki by można było zebrać na podstawie takiej ankiety. Libicki uznał za potrzebne zamieszczenie w „Kurierze” mej odpowiedzi na artykuł Świętochowskiego. Odpowiedź tę, utrzymaną w spokojnym, rzeczowym tonie, „Kurier” wydrukował. Z mojej strony była to wielka śmiałość polemizować z Posłem Prawdy, który uważał się za nieomylnego. Chcąc jednak dać dowód, że przy dobrej woli i staranności taka ankieta może mieć pewne znaczenie, zwłaszcza zaś może zainteresować szersze warstwy inteligencji miejskiej i ziemiańskiej, ja sam latem 1899 r. w wiosce rodzinnej Grala-Dąbrowizna, w powiecie siedleckim położonej, przeprowadziłem osobiście badania i pomiary wszystkich chat tej wioski w liczbie przeszło 20. Rezultaty tej pracy podałem w obszernym artykule, drukowanym w 1900 r. w miesięczniku Towarzystwa Higienicznego „Zdrowie” pod tytułem: Mieszkania ludności wiejskiej. Praca ta ukazała się też pod tymże tytułem w osobnej, starannie wydanej odbitce, którą rozesłałem do kilku bibliotek publicznych. Przyjęta z uznaniem przez członków Towarzystwa, była kilkakrotnie dyskutowana na posiedzeniach Towarzystwa, przy czym podkreślano wartość metody, którą stosowałem w mych badaniach.

Na rozesłaną w licznych egzemplarzach ankietę Towarzystwo Higieniczne otrzymało wiele odpowiedzi, mniej lub więcej szczegółowych, od lekarzy, ziemian, księży i innych osób, z podaniem planów omawianych chat, jako też pomiarów poszczególnych izb. Na ogół wyniki ankiety były wartościowe. Dano mi je do opracowania, co też uskuteczniłem, a te

liczne odpowiedzi zwróciłem Towarzystwu. Z powodu jednak braku jakiegokolwiek istotnego wpływu Towarzystwa na realizację w ówczesnych warunkach wysuniętych przezeń dezyderatów w tej sprawie, rezultaty tej akcji — poza zainteresowaniem się nią szerszych warstw społeczeństwa — okazały się niewielkie. Tylko na wystawie rolniczej, zorganizowanej na początku bież. stulecia w Częstochowie dla ludności włościańskiej, były wystawione przez Towarzystwo Higieniczne liczne, specjalnie wybrane i starannie wyrysowane plany szeregu najlepszych istniejących chat wiejskich, podane jako wzory do naśladowania dla zwiedzających tę wystawę włościan, którzy prócz tego mieli przed oczyma jako wzór wybudowaną specjalnie chatę uwzględniającą warunki higieny i zdrowia

\*

Ze spraw natury prawnej, traktowanych wówczas w Prokuraturii Kr. Pol., dwie zwłaszcza, żywo obchodzące wtedy nasze społeczeństwo, utkwiły mi w pamięci.

Jedna z nich to sprawa sądowa wytoczona przeciwko Skarbowi o zwrot depozytu sądowego złożonego u sędziego Sądu Pokoju i roztrwonionego po przywłaszczeniu przez tegoż sędziego. Prokuratoria na żądanie władz wysunęła tezę, że sędzia trwoniący depozyt nie działał w charakterze urzędowym, lecz dopuścił się osobiście przestępstwa i tylko od niego, a nie od Skarbu można domagać się odszkodowania. Ta karkołomna teza nie została jednak przyjęta. Zarówno sądy miejscowe, jak i Senat rosyjski uznały, że odpowiedzialność ciąży na Skarbie, który odpowiada za niezgodne z prawem czynności przestępne sędziego lub urzędnika.

Druga sprawa sądowa była wytoczona przez spadkobierców fundatora małego szpitala (o ile pamiętam, chodziło o szpital w Mieni) o unieważnienie fundacji i o zwrot majątku fundacyjnego z racji pogwałcenia istotnego warunku fundacji, aby w tym szpitalu były zawsze czynne i opiekowały się chorymi siostry miłosierdzia szarytki, które ówczesny rząd usunął ze szpitala i na ich miejsce wprowadził prawosławne siostry elźbietanki. Ta sprawa miała już pewien posmak polityczny i sądy rosyjskie uznały, że rząd miał prawo zastąpić jedne siostry drugimi, wskutek czego powództwo o unieważnienie fundacji zostało oddalone.

Z ciekawostek pracy i płacy w Prokuraturii Kr. Pol. wspomnę jeszcze o tym, że zachował się tam zwyczaj, oparty na obowiązujących dawnych etatach, iż każdy prawnik prócz pensji otrzymywał w naturze pewną ilość świec stearynowych. Prezes otrzymywał według rangi najwięcej, a radcowie, obrońcy, naczelnik kancelarii i asesory stopniowo coraz

mniejsze ilości tych świec, które przy ówczesnym oświetleniu naftowym lub gazowym były dużą pomocą w czasie zajęć wieczornych w domu.

\*

W końcu 1899 r. zmarł długoletni naczelnik kancelarii Prokuraturii. Staralem się o tę posadę, gdyż było do niej przywiązane mieszkanie służbowe, składające się z 2 pokojów i kuchni, a takie mieszkanie bardzo mi odpowiadało wobec zamierzonego zawarcia wkrótce związku małżeńskiego. Ponieważ jednak kandydaturę na tę posadę zgłosił również Wacław Kinel, jemu przeto, jako starszemu wiekiem i liczbą lat pracy, dostała się ta posada. Gdy jednak po zawarciu małżeństwa w dniu 3.II. 1900 r. potrzeby moje wzrosły, zacząłem rozglądać się za otrzymaniem innej popłatniejszej pracy.

W tych staraniach udzielił mi życzliwej i skutecznej pomocy radca Domaszewski, za co też zachowałem go na zawsze we wdzięcznej pamięci. Dowiedział się on, że w Wydziale Prawnym Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej będzie wakowała posada pełnomocnika do spraw gruntowych. Poleciał mnie na tę posadę radcy prawnemu Kolei, poważnemu mecenasowi Andrzejowi Wolfowi, którego głos w tej sprawie był decydujący. Mecenas Wolf ustosunkował się przychylnie do mej kandydatury i z dniem 1.VII.1900 r., pożegnawszy się — nie bez żalu — ze starszymi kierownikami i pracownikami Prokuraturii, objąłem nową pracę i znalazłem się w gronie nowych, starszych i młodszych kolegów, z którymi przyszło mi dzielić losy przez lat niemal osiemnaście.

Materiałnie zyskałem znacznie, gdyż moja pensja podwoiła się, tj. z 750 rub. wzrosła do 1 500 rub. rocznie, czyli do 125 rub. miesięcznie.

### Praca na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej

Głównym moim zajęciem była początkowo praca przy wywłaszczaniu gruntów pod wielką sortownię wagonów w Łazach (budowa linii węglowej długości przeszło 20 km z Żąbkowic do Sączowa) oraz wywłaszczenie gruntów pod stację Nowy Będzin, w tym małego kawałka gruntu od Sosnowieckich Kopalń Węgla. Ta ostatnia sprawa wymagała bardzo dużego nakładu pracy i zabiegów. Aby to zrozumieć, muszę podać, że wspomniane kopalnie były własnością spółki kapitalistów francuskich, którzy za cel główny swej działalności postawili sobie wyciągnięcie jak największych zysków z eksploatowanych przez nich kopalń w Polsce.



Towarzystwo to miało wprawdzie dyrektora Polaka, ale był on tylko figurantem, główne zaś nici zarządu i decyzji leżały w rękach nieoficjalnego kierownika Francuza i kilku wyższych urzędników francuskich. Towarzystwo to zapisało się ujemnie w pamięci społeczeństwa polskiego. Nie dbało ono wcale o polepszenie fatalnego stanu mieszkań górniczych ani też o naprawę okropnych dróg na terenie własnych kopalń. Urzędnicy Polacy otrzymywali niższe pensje niż urzędnicy Francuzi, przy czym aby ukryć ten fakt, urzędnicy w ogóle nie kwitowali z odbioru na listach płac określonej kwoty, lecz tylko z odbioru kopert zawierających wewnątrz umówioną pensję.

Dążąc do jak największego wyciśnięcia zysków z naszego kraju, Towarzystwo z okazji wywłaszczenia małego kawałka gruntu na potrzeby kolei zażądało odszkodowania nie tylko za grunt, ale i wypłaty kilku milionów rubli za „wnętrze”, tj. za znajdujące się pod tym gruntem jakoby wielkie i cenne pokłady węgla kamiennego, których eksploatacja, zdaniem Towarzystwa, została uniemożliwiona na skutek samego faktu wywłaszczenia powierzchni na potrzeby kolejowe. Sprawa o to odszkodowanie ciągnęła się długo przed powołaną komisją rządowo-administracyjną. Przyjeżdżał nawet z Petersburga specjalny delegat rządowy, który właściwie nic nie robił, a którego na koszt kolei musiałem ugaszczać.

Pomimo mych ważkich argumentów, które zdołałem zebrać z odpowiednich prac natury prawnej i technicznej i wyluszczyć komisji w obszernych złożonych memorialach, argumenty Towarzystwa (czy czasem nie brzęczące?) przeważały, gdyż wspomniana komisja przyznała Towarzystwu wielkie za węgiel odszkodowanie. Dopiero na skutek skargi kolei W—W złożonej w Petersburgu ministerialne władze rosyjskie wydały orzeczenie, że kwestia wynagrodzenia za wnętrze będzie aktualna dopiero wtedy, gdy Towarzystwo swymi robotami podziemnymi przy normalnej eksploatacji kopalni zbliży się do kawałka wywłaszczonego gruntu i gdy będzie można się przekonać, czy i w jakim stopniu zajęcie tego gruntu przez kolej uniemożliwi eksploatację węgla.

\*

Zaraz w pierwszych dniach mej pracy na kolei W—W zdarzył się wstrząsający wypadek katastrofy kolejowej tuż pod samą Warszawą. Wypadek spowodowany był niedbalstwem dyżurnego ruchu Rosjanina, który zaniedbał należytego nastawienia zwrotnicy dla nadchodzącego do Warszawy pociągu. Wypadek ten spowodował śmierć lub poranienie szeregu osób. Między innymi znajdował się w tym pociągu, który uległ katastro-

rofie, Władysław Reymont — późniejszy laureat nagrody Nobla za powieść „Chłopi” a także redaktor Gadomski z siostrą. Ta ostatnia zginęła na miejscu, a Reymont i Gadomski ulegli poważnym obrażeniom. Wszystkim poszkodowanym Kolej wypłaciła bez wyroków sądowych należyte, a nawet sute odszkodowanie. Tak na przykład Reymont otrzymał 30 000 rub. i zwrot kosztów leczenia.

\*

W skład Wydziału Prawnego wchodził: wspomniany radca Wolf, potem po jego śmierci radca mecenas Józef Brzeziński, a od 1912 r. po skupie kolei przez rząd — Małorus Balin; byli zastępcy radcy prawnego — mecenas Karol Dunin i Leon Matecki; referenci i obrońcy — Władysław Żywicki, późniejszy sędzia Sądu Najwyższego, Bolesław Czaplicki, Stanisław Rodkiewicz, długoletni skarbnik Kasy Literackiej, Stanisław Pytliński, żonaty z córką Konopnickiej, wydawca i redaktor interesującego, choć krótkotrwałego miesięcznika literackiego „Witeź“, Aleksander Cholawiński, późniejszy notariusz w Łomży, Stanisław Kopczyński, późniejszy prezes Izby Najwyższego Trybunału Administracyjnego; dwaj bracia Paszkowiczowie — Jan i Kazimierz — synowie mecenasa Paszkowicza, który wyspecjalizował się w pisaniu kasacji do Senatu; dalej Konrad Jocz, Feliks Popielecki, Antoni Olkowski (żonaty z siostrą W. Żywickiego, zmarły w młodym wieku podczas I wojny), Jan Baranowski, bratanek prof. Baranowskiego, i ja. Stosunki koleżeńskie były dobre i przyjazne. W latach późniejszych byłem też referentem opinii prawnych i pomocnikiem radcy prawnego.

Prawnicy w Wydziale Prawnym byli zarazem adwokatami przysięgliymi i mogli prowadzić przed sądami własne swoje sprawy. Ja od 1903 r. zostałem też adwokatem przysięgłym. Własnych spraw miałem niewiele, ale prowadziłem np. szereg spraw męża mej kuzynki K. Pawłowicza.

Ponieważ sprawy, które mi były powierzone, wymagały częstych wyjazdów do Będzina, gdzie była siedziba władz powiatowych, do Sosnowca i do innych miejscowości pogranicznych, co pociągało za sobą kontakty z miejscowymi władzami, miałem możność dość częstego otrzymywania przepustek granicznych, a zatem i wyjazdów do Krakowa bądź przez stację Granica, bądź przez Katowice i Mysłowice. Poznałem też wtedy Kraków dość dobrze i rozmiłowałem się w jego cennych zabytkach historycznych i artystycznych. Śledziłem z zapartym oddechem rozpoczynającą się odbudowę Wawelu, który nareszcie przestał być koszarami wojskowymi o zaniedbanym wyglądzie.

Inne wrażenie robiły Katowice, miasto ruchliwe, handlowe i przemysłowe. Mowę niemiecką słyhać było wszędzie na ulicach i w sklepach. Polskości trzeba było szukać. Znalazłem ją przede wszystkim w redakcji „Górnoślązaka“, gdzie poznałem młodego, energicznego redaktora tego pisma, Wojciecha Korfantego, jednego z budzicieli ducha polskiego na Górnym Śląsku. Wywarł on na mnie bardzo dodatnie wrażenie swym zapałem i odwagą, z jaką walczył o prawa Polaków. Życzyłem mu góraco powodzenia w walce „Górnoślązaka“ o rozkwit polskości.

\*

Z chwilą zawarcia małżeństwa wszedłem w szeroki krąg rodzinny mojej żony, Marii Porazińskiej, m. in. dalszej rodziny, mianowicie sędziego Seweryna Lutostańskiego, członka Izby Sądowej Warszawskiej, wybitnego prawnika. Lutostańscy mieli dwóch synów i dwie córki. Syn Jan był inżynierem, a drugi syn, Karol, był zdolnym prawnikiem, autorem pierwszego projektu ustawy o rozwodach. Projekt ten, pomimo poparcia go przez większość rządową po 1926 r., nie uzyskał mocy obowiązującego dekretu wobec sprzeciwu Piłsudskiego, który odmówił swego podpisu, kiedy dowiedział się, że projekt ten nie był uzgodniony z episkopatem. Mówił mi o tym fakcie mój kolega uniwersytecki, naówczas kanonik, ks. Kazimierz Bączkiewicz, który miał dobre wiadomości z Kurii Arcybiskupiej. Karol Lutostański zginął przedwcześnie w swym mieszkaniu na początku II wojny światowej na skutek nalotu bombowców niemieckich. Jedna z córek sędziego Lutostańskiego, Jadwiga, poślubiła historyka, późniejszego cenionego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Władysława Konopczyńskiego.

Lata 1904 i 1905 były okresem wojny rosyjsko-japońskiej, powstania w Moskwie, powszechnych strajków kolejowych, wielkiego zamętu, powstania pierwszych szkół polskich prywatnych i niektórych towarzystw organizowanych przez społeczeństwo.

W 1906 r. w czasie pobytu mego z żoną w lecie w Krynicy przyszła wiadomość o samoradnym wprowadzeniu przez pracowników Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej (obejmowała ona też Kolej Warszawsko-Kaliską) oraz przez pracowników Kolei Fabryczno-Lódzkiej języka polskiego na dworcach kolejowych, w wewnętrznym urzędowaniu poszczególnych wydziałów kolejowych, w całej tak zwanej części finansowej Kolei W—W, na czele której stał dyrektor finansowy Strasburgier, oraz w naczelnej instytucji Kolei W—W, mianowicie w Radzie Zarządzającej, której prezesem był Leopold Kronenberg, a głównym sekretarzem literat Julian

Adolf Świącicki. Podkreślić należy, że Kolej W—W była instytucją wzorowo pod względem finansowym i technicznym wyposażoną oraz zatrudniała mnóstwo inteligencji polskiej i liczne rzesze fachowców i robotników polskich. Jedynie pisma kierowane do dyrektora (mianowanego z ramienia rządu) były nadal redagowane w języku rosyjskim. Dyrektorem był inż. Rydzewski, człowiek uczciwy i nie stosujący szykan wobec Polaków.

Wprowadzenie języka polskiego pomimo żywego sprzeciwu administracyjnych władz rosyjskich, które odgrażały się, że siłą przywrócą na kolei język rosyjski, dokonane zostało na podstawie ulgowego prawa o używaniu języka polskiego w urzędowaniu wewnętrznym towarzystw prywatnych w Kongresówce. Kolejarze skorzystali z tego, że koleje Warszawsko-Wiedeńska i Fabryczno-Lódzka były zarządzane przez kolejowe towarzystwa prywatne, do których powinno się stosować wymienione prawo o używaniu języka polskiego. Władze rosyjskie nie chciały się z tym wcale zgodzić i ostatecznie zdecydowały się wykupić przedterminowo rzeczony koleje z początkiem 1912 r. i tym samym wprowadzić z powrotem język rosyjski na tych kolejach, teraz już jako państwowych. Na tym skupie zrcbiły dobry interes sfery finansowe zachodnio-europejskie (w ich bowiem rękach znajdowała się większość akcji Kolei W—W), otrzymały one bowiem wartość akcji w dobrej złotej walucie rosyjskiej. Sfery te zapewne przewidywały już wtedy rychły konflikt zbrojny między Niemcami a Rosją (co nastąpiło w 1914 r.), który — gdyby do tego czasu skup nie doszedł do skutku — pozbawiłby je tak korzystnej transakcji.

*(dokończenie nastąpi)*